



Red. - Dlaczego Ksiądz wyjechał akurat do Papui Nowej Gwinei?

Ks. ? Kiedy byłem w seminarium prowincjał przedstawił nam, po uprzednim rozeznaniu sytuacji, prośbę biskupa Kalisza z PNG o pomoc tamtejszemu Kościołowi. Wtedy zdecydowałem się i podałem swoją kandydaturę. Ciągnęło się to jeszcze przez kilka lat. Nie było drugiego chętnego. Po pewnej namowie zgodził się Marian Wierzchowski i obaj zaczęliśmy się przygotowywać. Przez rok pracowaliśmy na parafii w Polsce, a przez następny uczyliśmy się języka angielskiego w Australii. A w końcu, w lutym 1990r., znaleźliśmy się w Papui.



Red. ? Pierwsze wrażenia?

Ks. ? Duszno, gorąco. Trochę dziwnie, bo nagle znaleźliśmy się w zupełnie innej rzeczywistości. Po dwóch dobach w Port Moresby (stolica) poleciliśmy do Wewak (w towarzystwie Prowincjała i Sekretarza d.s. Misji ? odstawili nas na miejsce, pobyli parę dni i pojechali). Kilka tygodni byliśmy w ośrodku kształcenia liderów czy pracowników pastoralnych, żeby trochę poznać ...

... miejscowy język. Tak się zaczęło.

Red. ? A dalej?

Ks. ? Dalej to były trudne chwile, bo z polską mentalnością niełatwo było nam się odnaleźć. Ja, na przykład, bałem się, bo wtedy ciągle słyszało się o napadach, rabunkach, bałem się nawet, że mi ukradną takie małe radio tranzystorowe. Dużo pracy kosztowało mnie wyzbycie się lęku o

to co mam, a nawet i o siebie ? udało się dopiero po kilku latach. Zrozumiałem, że jak coś mam, to ma mi służyć, a jak nie będę miał, to też będę sobie musiał radzić.

Tradycją i wolą biskupa było, że początkujących misjonarzy posyłano na stacje do starszych misjonarzy, by pod fachowym okiem mogli uczyć się pracy w warunkach misyjnych. Marian był przez 8 miesięcy w Yangoru, a ja w Sasso ? to stacja blisko Wewak, gdzie był wiekowy już misjonarz ? Niemiec, o trudnej osobowości. Niestety, dane mi było odczuć pewne animozje narodowościowe na tle historii (jak Polacy Niemców skrzywdzili, bo ich po wojnie wyrzucili itp., co skomentowałem krótko: "A kto was do Polski zapraszał w 39?"). Nie nabyłem przy nim zbyt wiele misyjnego doświadczenia, ale za to nieraz odczułem poniżenie.

W końcu biskup zaproponował nam objęcie parafii w Boram, po księdzu lokalnym. Zdecydowaliśmy się bardzo szybko i chyba w ciągu tygodnia znaleźliśmy się tam z całym naszym dobytkiem i rozpoczęliśmy normalną pracę. Marian został proboszczem, a ja chodziłem do szpitala, zajmowałem się więzieniem i doglądałem Outstation Perigo. Tak było przez 1,5 roku.

Red. ? A potem?

Ks. ? Potem, kiedy przyjechał Andrzej Koźmiński, w uzgodnieniu z prowincjałem, przyjęliśmy stację w buszu ? Marui, a co za tym idzie musieliśmy obsługiwać także Burui i Turembi (na łądzie) oraz Kapaimari (na wodzie). Tego było znów trochę za dużo dla jednego, toteż jak przyjechał Piotrek Czerwonka, zdecydowaliśmy, że będziemy tam we dwóch. Piotr doglądał Burui i Turembi, a ja Marui i Kapaimari.

Red. - W jakim stanie była stacja Marui?

Ks. ? Przyszliśmy na gotową stację ? powstała 60 lat temu, kiedy przybyli tu pierwsi misjonarze. Zabudowania zostały zniszczone podczas wojny, ale odbudowano je. Przez 18 czy 20 lat nie było tam księdza ? tam ludzie są bardzo twardzi i trudno z nimi współpracować. Po części dlatego, że stanowią odrębny klan i mają swój język. Są dumni i wywyższają się bardzo. Przed nami był tu werbista, Niemiec. Wybudował nowy dom, ale nawet nie zdołał go wykończyć, gdyż musiał, dla dobra swego zdrowia, wyjechać. Właściwie żaden z księży nie wytrzymał tam dłużej niż 2 lata.

Red. ? A jak długo Ksiądz pracował w Marui?

Ks. ? Byłem tam 6 lat ? udało mi się znaleźć wspólny język i dobre formy współpracy z tymi ludźmi. Słuchałem ich i szanowałem ich zdanie, przez co i oni słuchali i szanowali mnie. Podejmowaliśmy wiele wspólnych decyzji i działań. Czułem się tam dobrze i robiłem, co mogłem, choć nie było łatwo.

Obsługa parafii, tej ?mojej? części, łączyła się z transportem wodnym. Wszystko trzeba było nosić ze sobą, bo było wielu takich, co zabierali, kradli, wszystko co tylko zobaczyli. Nic nie można było zostawić na łodzi ? trzeba było wszystko, łącznie z silnikiem, ważącym ok. 70 kg, nosić ze sobą i przejść z nim na ramieniu (kanciasty i nie było innej możliwości noszenia) po nierównościach, czasem zapadając się w bagnie ok. 100 m. Trzeba było też nosić zbiorniki z paliwem i puste po paliwie.

Nie było to łatwe, ale ja to lubiłem. Woda to mój żywioł, do tej pory.

Udało mi się pozyskać zaufanie parafian na tyle, że mogłem wchodzić do ich [hausboyów](#) (dom u mężczyzn, gdzie kobiety nawet pod karą śmierci wstęp mają zakazany), nawet w momentach dla nich szczególnie uroczystych, jak inicjacja. Przynosiłem z sobą tytoń czy [buai](#) i nawet w tych, zdawałoby się, rozmowach o niczym? udawało mi się wtrącić jakąś refleksję.

Kiedyś byłem z rekolekcjami w jednej z najdalszych wiosek. Siedzieliśmy z [bigmanami](#) w [hausboju](#). Usiłowali coś ze mnie wyciągnąć, aż w końcu jeden zapytał wprost: ?Powiedz mi, ojciec, kiedy my będziemy tacy jak wy??. Pytam: ?O co wam chodzi? O skórę??. Powiedzieli, że nawet i o skórę. Tu był problem, jak im wytłumaczyć, że skóra jest czymś nieistotnym, bo człowiekiem, dzieckiem Bożym jest się niezależnie od skóry. A oni dalej: ?Ale kiedy my będziemy tacy jak wy, kiedy będziemy mieli to co wy, kiedy będziemy używać tego, czego wy używacie? Kiedy będziemy żyć tak jak wy żyjecie??. To był bardzo długi proces tłumaczenia. Nie powiedziałem im tego, ale pomyślałem, że tego wszystkiego, co mają biali można ich nauczyć używać, ale mentalność zmienić trudno. Przecież oni w swoim rozwoju zatrzymali się na kamiennej siekierze, nawet łuku nie wymyślili sami. Reszta została im narzucona. Przyjęli, używają, ale nie potrafią tego wytwarzać. Jak się ich nauczy, będą robić, ale nie sami z siebie.

Red. ? Czy można mówić o papuaskiej sztuce ludowej?

Ks. ? Oni robią tylko rzeczy praktyczne, czy jakieś ozdoby tradycyjne. Na wybrzeżu są pewne formy sztuki ludowej, ale w górach nie. To, po pierwsze było wynikiem ich religii pierwotnej, tworzeniem dla przodków. Potem wszedł element turystyki. Przyjeżdżali biali, kupowali ? to bardzo prymitywne, ale chwytliwe. Ten rodzaj twórczości dla turystów, dla zarobku, staje się coraz popularniejszy.

Red. ? Podobno Papua jest terenem, gdzie wiele sekt próbuje pozyskać sobie wyznawców. Jakie są księdza doświadczenia z sektami?

Ks. ? Potrafią bardzo utrudniać ludziom życie. Starają się zdobyć w wioskach jak największe wpływy i wywierają nacisk na ludzi, nawet próbują ich nastraszyć, jak w przypadku przywódcy jednej z wiosek, któremu grozili śmiercią. Dobrze, że przyszedł do mnie z zaufaniem i uwierzył w to, co mówiłem. Sekty dzielą też rodziny ? bywa, że mąż za ich namową bije żonę ? katoliczkę.

Nigdy nie piętnowałem sekt po imieniu, mówiłem ogólnie, a ludzie i tak to rozumieli. Zachęcałem do życia w zgodzie, co procentowało w ten sposób, że pomagali nam w niektórych pracach. Sekciarze są jak konie z klapkami ? nic nowego nie wymyślą. Skaczą po Piśmie św. z fragmentu na fragment, a katolicy nie są przygotowani do takiej dyskusji, nie wkuwają fragmentów na pamięć.

Jak działają sekciarze obrazuje poniższe zdarzenie: do Wewak przyjechała Niemka, należąca do sekty. Zorganizowała sobie grupę miejscowych zwolenników i chodziła z nimi po domach. Kiedyś byłem w naszym domu w Boram sam. Odwiedzili mnie, zapytałem grzecznie o co chodzi. Powiedzieli, że chcą porozmawiać o Bogu. Myślałem, że należą do jakiejś grupy. Niemka zaczęła w pidgin, że oni głoszą Słowo Boże. No to ja mówię, że też głoszę Słowo Boże, bo jestem misjonarzem katolickim. Bynajmniej ich to nie zraziło. Niemka, bardzo pewna siebie, zaczęła mówić po angielsku, to ja też, i mówię, że każdy człowiek ma wolną wolę i powinniśmy

to uszanować. Z ogromnym uporem starała się narzucić mi swoje zdanie, unikając jednocześnie dyskusji teologicznej i twierdząc, że tylko oni mają rację. Kiedy powiedziałem, że nawet Pan Bóg szanuje człowieka, bo dał mu wolną wolę, a oni jej nie dają, zaczęła krzyżeć, że my, katolicy, wypędzamy ich i szczujemy psami. Zapytałem, co według niej ma zrobić człowiek, którego woli nie szanują i wchodzą jak świnie do cudzego ogrodu ? jeśli uszanują drugiego człowieka i on ich uszanuje. Odeszli w końcu, nie szczędząc złych słów.

Biali sekciarze często doprowadzają do strasznych animozji, nawet do zająć, w efekcie których ktoś bywa pobity, zniszczony czy spalony kościół, rozrzucony Najświętszy Sakrament. Dla Papuasów często biały jest ich przodkiem, który po śmierci zmienił skórę, zyskał cargo i teraz wrócił do nich, tylko jest taki zły, że nic im nie chce z tego dać. Papuasom trudno było zrozumieć, że pieniądz jest zapłatą za pracę człowieka, że nie przychodzi z niczego. W okresie, kiedy Papua przygotowywała się do bycia samodzielnym państwem zorganizowano wyjazd grupy [bigmanów](#) do Australii, żeby mogli przyjrzeć się funkcjonowaniu państwa. Przez ok. 2 tygodnie misjonarze pokazywali im różne zakłady pracy itp. Pod koniec pobytu zauważyli, że [bigmani](#) są niezadowoleni. Zapytani dlaczego mają takie smutne twarze, stwierdzili, że nie pokazali im tego miejsca, gdzie robią pieniądze. To obrazuje ich sposób myślenia ? uważają, że pieniądze się drukuje, a nie chcą zrozumieć, że jest to forma zapłaty za pracę. Mają do czynienia z produktem w sklepie, nie widzą jak powstaje, toteż płacenie kojarzą z towarem, a nie z pracą.

Red. ? Co było po Marui?

Ks. - Po Marui była Roma, w 1998 r. Przejście było koniecznością, bo już bardzo skrzywiony chodziłem ? kręgosłup zastrajkował. Polak, lekarz z Poznania, który przyjechał do Neragaimy, porobił mi badania i okazało się, że miałem pęknięty kręgosłup, czego nawet nie podejrzewałem. Kontynuacja pracy w tych warunkach groziła wózkiem inwalidzkim. Nie przejąłem się tym zbyt, ale przyszedł czas, że musiałem podjąć decyzję, co dalej. Porozmawiałem z biskupem i przeniósł mnie do Romy, typowo lądowej parafii. Dookoła wysokie trawy, strumienie, rzeczki. Tam już nie miałem do czynienia z wodą. Chyba, że jechałem samochodem do wioski, a spadł potężny deszcz. Wtedy nie można przejechać, bo droga jest rozmyta. To jakieś 107 km od Wewak.

W buszu ludzie nie są tacy dumni, mają więcej pokory, są bardziej chłonni i skorzy do współpracy. Tu pierwszy misjonarz przyszedł zaledwie czterdzieści kilka lat temu. Warunki mieszkaniowe były okrutne ? domek prawie całkowicie zjedzony przez termyty, który przy najmniejszym trzęsieniu ziemi trzeba opuszczać, bo coś może spaść na głowę. To jednak nie jest aż takie ważne. Ważne jest, że ludzie cieszą się, że jestem wśród nich. Wiele tu wspólnie zrobiliśmy.

Niektórzy uważają, że ksiądz obowiązany jest pomagać we wszystkim ?z urzędu? i np. proszą, żeby ich gdzieś zawieźć, bo żal im pieniędzy na zapłacenie sąsiadowi czy krewniakowi, wolą je wydać na głupstwa. Żal im wydać na dojazd do szpitala czy na lekarstwa, ale szamanowi zapłacą, a potem przychodzą po pomoc. Kiedy jest rzeczywista potrzeba, kiedy ktoś ma rodzinę i nie ma jej jak utrzymać pomagam, ale naciągać się raczej nie daję.

Szamani, glassmani to kolejny problem, który jeszcze długo będzie tutaj wyzwaniem.

Wykorzystują swoją pozycję, straszą ludzi i poprzez strach narzucają innym sposób życia. Patrzą na mnie krzywo, ale boją się tej mocy (Bożej), która jest ze mną.

Problemem są też ci, którzy zgodnie z tradycją, a wbrew konstytucji, mają więcej niż jedną żonę. W Marui był nawet taki człowiek, który miał 8 żon, a ósmą była jego własna córka.

Red. - A dalej?

Ks. ? Swoją pracę duszpasterską kierunkowałem na to, by być z ludźmi i wśród ludzi. Nie czułem kapłańskiej satysfakcji ani z wielkości terenu, który obsługuję, ani z ilości ludzi. Po odejściu księdza z sąsiedniej parafii biskup prosił, bym objął swoją pracę także parafię sąsiednią Warabung. Uznałem, że będzie to kolidować z tym, co robiłem w Romie i nie pozwoli zrealizować mojej wizji pracy duszpasterskiej w nowej parafii, by należycie odpowiedzieć na nowe wyzwania. Ze współbraćmi uzgodniliśmy więc, że ja przejdę do parafii w Turinghi, obsługiwaną już od wielu lat przez pallotynów, a na moje miejsce przejdzie ks. Jacek.



Red. ? A w Turinghi?,

Ks. ? Zaczęło się dość nietypowo ? od wypadku samochodowego zaraz w pierwszych tygodniach. Byłem umówiony w jednej wiosce na spowiedź i Mszę św. w porannej godzinie. Jechałem w towarzystwie br. Janusza z całym zaopatrzeniem na stację i pełną beczką benzyny. Na zakręcie zostałem najechny przez duży samochód, którego kierowca ścinał zakręt. Nie miałem możliwości ucieczki, gdyż samochód sturlikałby się kilkanaście metrów w dół, co groziłoby wybuchem benzyny. Mój samochód został całkowicie zniszczony, a dzięki Bogu, nam nic się nic nie stało, poza niewielkim rozcięciem głowy (o szybę) br. Janusza. Dla mnie był to niemały szok, spotęgowany tym, że kierowca, który spowodował ten wypadek, widząc, że jesteśmy biali, wyskoczył do nas z maczetą i wielkim krzykiem, że to ja byłem sprawcą wypadku. Mówiąc prościej, że byłem na drodze samochodem, kiedy on jechał. Na szczęście w kilka minut po tym jechali do Wewak ludzie z parafii Turinghi, rozpoznali nas i wzięli w obronę. Nawet policja po jakimś czasie uznała, że nie było w tym mojej winy, ale na sąd czy dochodzenie nie mogłem sobie pozwolić, gdyż pozycja białego jest zawsze stracona. Dopiero po miesiącu odważyłem się ponownie jechać do Turinghi.

I tak się zaczęło. Parę miesięcy zajęło mi poznawanie parafii i ludzi, a szczególnie liderów, z którymi mam pracować.

A że w tej parafii pracowali już księża: Koźmiński, Woźniak, Rykała, Czytelnicy mieli już okazję dowiedzieć się sporo o tej parafii.

Red. ? Jak najkrócej określiliby Ksiądz swoją pracę?

Ks. - Praca misjonarza w PNG to nieustanne wyzwanie, a wtedy człowiek znajduje energię, siłę, by być z nimi. Oni mnie potrzebują, ale ja też potrzebuję ich. To takie wzajemne uzupełnianie się.

Tych, którzy będą to czytać proszę o wsparcie modlitewne.

Red. ? Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Jolanta Fidura

Źródło: Horyzonty Misyjne nr 32 (3/2005)